

Wspinaczkowe tematy tabu

Wspinaczka jest uważana przez wielu za sport ekstremalny, podczas gdy inni widzą w niej prawie wyłącznie dobrą zabawę i rozrywkę, natomiast jeszcze inni realizują poprzez nią swoje pasje i tzw. „miłość do gór”. Wymaga ona wprawdzie siły, wytrwałości i gotowości do poświęceń, ale w zamian oferuje często niezapomniane i nieosiągalne w innych dziedzinach życia doznania. Z roku na rok przybywa też osób entuzjastycznie i bezkrytycznie podchodzących do wspinaczki, zachłyśniętych pozytywnymi tego sportu, reprezentujących nurt, który ja określam mianem *mitu bezpiecznego wspinania*. Niezależnie od tego jak do wspinaczki podchodzimy, liczne przykłady z życia wzięte ujawniają jednak i tę drugą, chętnie pomijaną, mroczną i niechcianą stronę medalu. Wspinaczka jest również bardzo niebezpieczna. Z jej uprawianiem związane jest nierozłącznie znaczne ryzyko wystąpienia zjawisk niepożądanych, które prowadzić mogą do poważnych urazów, a nawet śmierci.

Mnogość zagrożeń obiektywnych towarzyszących wspinaczce, brak odpowiedniego doświadczenia i przygotowania, złe planowanie i nieodpowiednie wyposażenie, to jedne z wielu czynników, które mogą doprowadzić do wypadku, również tego ze skutkiem śmiertelnym. Jednak o tej stronie medalu wolimy jednak nie myśleć. Ryzyko wypadku ze swej natury jest dla nas czymś nieprzeniknionym, de motywującym, niepoddającym się tak łatwo identyfikacji i ocenie, a przez to zjawiskiem budzącym uzasadniony niepokój. Zwykle trudno się nam z nim oswoić, zaakceptować je i pogodzić się z jego istnieniem. Każdy, lub prawie każdy z nas obawia się wypadku i jest to uzasadnione. Co takiego zatem sprawia, że mimo istniejącego ryzyka podejmujemy jednak wyzwania? Tą iskrą wszechpalącą płomień jest inspiracja. Bez niej nic nie jest w stanie się zacząć. Źródłem inspiracji może być przeczytana książka, obejrzany film, opowiedziana historia lub najczęściej, po prostu inni ludzie. W ślad za inspiracją idzie motyw naszego działania i dalej samo działanie. Aby osiągnąć jednak cel, na każdym etapie konieczna jest również determinacja w dążeniu do celu. Bez niej nic nie ma prawa się udać. Jednak wbrew romantycznym ciągłom ludzkiej natury, życie niestety nie toczy się li tylko według najprostszych, żeby nie powiedzieć prostackich scenariuszy, które można by zawrzeć w znanej sentencji „*jest ryzyko jest zabawa, albo piargi albo sława*”.

Niestety, w repertuarze możliwych konsekwencji wspinania, równie prawdopodobne, może być dożywotnie kalectwo. O ile kontuzje i śmierć ze swej natury są stanami przejściowymi (choć co do śmierci zdania są podzielone w zależności od światopoglądu), o tyle kalectwo okazuje się być stanem chronicznym, uniemożliwiającym nam często samodzielne funkcjonowanie, samorealizację, ale przede wszystkim stanem obciążającym, pod każdym względem, naszych bliskich aż po kres naszych lub ich dni. Wielu z nas o tym zapomina, nie chce o tym pamiętać, nie dopuszcza do swej świadomości również i takiej możliwości rozwoju sytuacji. Kalectwo ze swej natury źle wpisuje się w romantyczny etos wspinania, jest niemedialne i sekujące - żeby nie powiedzieć ekskomunikujące. Najczęściej do wypadków dochodzi z przyczyn ludzkich, ale mogą być też one wynikiem wyjątkowo niefortunnego zbiegu okoliczności.

O wypadkach wspinaczkowych na ogół mówi się rzadko i dość niechętnie. Jeśli już do nich dojdzie, to najczęściej nie potrafimy rzeczowo i bez emocji o nich rozmawiać. Trudno się temu specjalnie dziwić, bowiem zwykle klasyfikujemy je do kategorii porażek, a o nich raczej chce się zapomnieć niż je przypominać. Wyjątek od reguły stanowią jednak zwykle te z nich, które są najtragiczniejsze w skutkach. Te, dla odmiany, chętnie znajdują przez chwilę swoje miejsce w przestrzeni medialnej, rozgrzewając emocje, podnosząc słuchalność czy oglądalność danej audycji. Ot, taki ludzki paradoks, kiedy to na ogół dość chętnie oglądamy, słuchamy, czytamy takie relacje. Przy tej okazji zajmujemy się komentowaniem dramatycznych wydarzeń i często bardzo chętnie stawiamy się w roli arbitra, dokonując krytycznej ich oceny. Na ogół obowiązuje tutaj zasada, że oceniający postępowanie innych widzi najmniejsze źdźbło w oku innej osoby, a jednocześnie pozostaje ślepy na belkę w swoim oku. Równocześnie z niechęcią i częstą

agresją odnosimy się do osób, które wygłaszają (często uzasadnioną) krytyczną ocenę dotyczącą bezpośrednio naszego niefortunnego działania. Jedną z form radzenia sobie z tym trudnym do zaakceptowania problemem jakim jest wypadek jest tzw. postawa wyparcia. Najczęściej objawia się ona przemilczaniem problemu, tak jakby w ogóle go nie było, nie od dziś przecież wiadomo, że „wypadek to coś takiego, czego nie ma,dopóki się nie wydarzy”. Często też spotykana postawą obronną jest też przekonanie, że wypadki dotyczą wyłącznie innych, a nie mnie, tj. wiarą we własną nieśmiertelność. Nie należy jednak postawom obronnym przypisywać wyłącznie negatywnego znaczenia. Owa nadzieja, że mimo iż okoliczności są skrajnie niesprzyjające, to wyjdziemy z opresji obronną ręką jest być może jednym z głównych czynników naszej determinacji w podjętym działaniu. Podłożem i uzasadnieniem tej nadziei są głęboko zakorzenione pokłady optymizmu i chęć do życia, które nie pozwalają człowiekowi myśleć o sobie inaczej jak tylko „jestem kimś wyjątkowym”. Bez takiego przekonania, to co robimy w życiu codziennym oraz realizując swoje pasje, nie miałyby, jak sądzę, żadnego celu i sensu. Niezależnie od naszych postaw obronnych do wypadków jednak dochodzi.

Wspólną cechą każdego wypadku jest to że, jego ofiary/uczestnicy niezmiennie są nim zaskoczeni. Mimo wszystko, może warto jest jednak zastanowić się chwilę i wypracować pewną właściwą proporcję pomiędzy naszymi postawami obronnymi (które choć usprawiedliwione w sytuacji zagrożenia, mają wyłącznie charakter subiektywny), a obiektywizmem rzeczywistych zdarzeń. Jak zawsze w kontekście wypadku, wielu z nas zadaje sobie pytania o charakterze egzystencjalnym, o sens ludzkiego istnienia i śmierci. A śmierć, zwłaszcza w górach, to zawsze sfera bardzo intymna, granicząca nieomalże z sacrum. Związane z nią nierozłącznie podłoże emocjonalne sprawia, że mówi się o niej bardzo trudno i na ogół dość oględnie. W prawdzie, wszyscy doskonale wiemy, że jest ona nierozłącznie związana z istnieniem człowieka (tak jak narodziny) i prędzej czy później będzie udziałem każdej/każdego z nas, ale czy tak naprawdę jesteśmy na to przygotowani? Z moich wieloletnich obserwacji wynika, że większość osób wspinających się w ogóle nie dopuszcza możliwości wystąpienia wypadku „tu i teraz”, a jest to spowodowane wspomnianą wcześniej postawą wyparcia. Mam też wrażenie, że większość wspinaczy umawia się ze sobą wyłącznie na osiągnięcie sukcesu, tak jakby zapomnieli lub nie chcieli wiedzieć o tym, że ze wspinaniem nierozłącznie związane jest ryzyko mniejszej lub większej awarii. Ale na awarie to ludzie zwykle się nie umawiają, a w sytuacji jej wystąpienia są po prostu bezradni. Aby tak nie było, powinniśmy nieustannie studiować zaistniałe już wypadki, wyciągać z nich wnioski, aby móc próbować unikać problemów, a jeśli już do nich dojdzie, to umieć je rozwiązywać. Chodzi o to, aby być możliwie jak najlepiej przygotowanym do czasu ewentualnej próby. Powinien to być proces ciągły i nieustający, bowiem nie znamy „dnia ani godziny”. Można powiedzieć tylko tyle, że zawsze będzie to najbardziej nieoczekiwana i nieodpowiednia chwila. Nie zawsze wyjdziemy z tej próby zwycięską ręką, ale przynajmniej dajmy sobie jakąś szansę. Jeśli już mowa o potencjalnej możliwości utraty życia lub kalectwa w wyniku wypadku w czasie wspinania, to jak przygotować siebie i towarzyszy wspinaczki oraz swoich bliskich na te możliwości? To poważny i chyba nierozwiązywalny problem, w każdym razie ja nie potrafię podać jakiejś sensownej recepty na jego rozwiązanie. Wątpię też, aby ktokolwiek w kwiecie wieku i pełni sił witalnych mógł uczciwie powiedzieć, że jest w pełni na taką ewentualność przygotowany. Coś, co pozwala rozeznąć ciąg przyczynowo skutkowy po wypadku jest analiza zdarzeń. Dotychczasowa praktyka w tym względzie nie jest pocieszająca, bo wskazuje jednak na to że, stosunkowo rzadko spotykamy się z dogłębną i rzetelną analizą przyczyn wypadków wspinaczkowych w Polsce. W każdym razie takie analizy nie mają charakteru systemowego, a raczej doraźny. W prawdzie przez całe lata zbierane są protokoły wypadkowe oraz dokonywane są analizy zdarzeń, ale dotyczą one prawie wyłącznie wypadków szkoleniowych. Generalnie, istnieje pewien problem z przepływem informacji na temat wypadków między służbami ratowniczymi, a PZA jak i samymi wspinaczami. Często jest to uwarunkowane niechęcią do dzielenia się swoimi przykrymi doświadczeniami, obowiązującymi przepisami ale też brakiem wypracowanej formuły postępowania w takich przypadkach. Niestety, najczęściej jednak bywa tak, że działamy w stylu „ten coś tam słyszał, ten coś tam widział”.

Informacje w taki sposób pozyskane są często okraszone osobistą interpretacją relacjonującego, mają zwykle charakter powielaczowy i są najczęściej trudno dostępne ogółowi. Czy warto rozdrapywać świeże i nie zablźnione jeszcze rany poprzez analizę okoliczności i przyczyn wypadków? Wielu powie, że przecież to nie przywróci zdrowia czy życia ofierze wypadku, nie cofnie czasu, nie wymaże straty i bólu jaki przeżywają bliscy poszkodowanego. To prawda i jedyne co można zrobić w tej sytuacji, to sprawić, aby to, co dla jednych jest traumatycznym przeżyciem, dla innych stało się nauką na przyszłość.

Nie zapominajmy o tym, że wypadki są również źródłem (bardzo kosztownym), ale jednak źródłem indywidualnego, jak i zbiorowego doświadczenia. Szkoda byłoby te doświadczenia zaprzepaścić. Analizując przebieg wydarzeń należy wykazywać się empatią i taktem, mając na uwadze chociażby aspekt emocjonalny jaki towarzyszy wypadkom, a w szczególności nie należy rozpatrywać ich w kontekście personalnym. O wiele ciekawsze jest to, dlaczego na pewnym etapie dochodzi do błędów, które prowadzą do utraty zdrowia lub życia? Istotne są zatem następujące po sobie elementy, które układają się z perspektywy następującego po nich tragicznego zdarzenia w pewną logiczną całość. Wyłuskując z ogromu innych danych te zjawiska i mechanizmy, jesteśmy w stanie w dłuższej perspektywie wypracować metody postępowania w sytuacjach kryzysowych. Każda analiza wypadku jest zatem cenna, bo katalizuje jakąś dyskusję i może przyczynić się do wyciągnięcia uogólnionych wniosków tj. nauki na przyszłość. Analiza wypadków skłania również do uprawnionej konkluzji, że w zasadzie na każdym etapie działania jest możliwość przzerwania łańcucha zdarzeń prowadzącego do wypadku. Czy zdajemy sobie sprawę z tego, że w każde nasze działanie (niezależnie od doświadczenia) wpisane jest ryzyko popełnienia błędu i że to jest nieuniknione? Czy jesteśmy w stanie, choćby w zaciszu własnego sumienia przyznać sami przed sobą, że błędy popełniamy i co ważniejsze, czy wyciągamy z nich wnioski na przyszłość? Na te pytania każdy musi odpowiedzieć sobie sam. Tak naprawdę chodzi o to, aby mieć do własnego wspinania pewien dystans i skłaniać się do refleksji nad tym co i jak robimy, mieć świadomość własnych zalet i ułomności. Dystans do siebie pozwala nabrać też przekonania o konieczności ciągłego uczenia i doskonalenia się w tym co robimy. Ten dystans do siebie samego i swoich osiągnięć działa też ożywiająco i pozwala zachować właściwą równowagę pomiędzy własnymi dokonaniem, a sferą medialną, która rządzi się przecież swoimi (często pozostającymi w sprzeczności z faktami) regułami. Kto z nas nie lubi być chwalonym i podziwianym, tym o którym się mówi i pisze, jednym słowem osobą znaczącą w środowisku? Nie zapominajmy jednak o tym, abyśmy w pogoni za popularnością i rozpoznawalnością nie zatracili w medialnych przepychankach i prężeniu piersi istoty wspinania i rzetelności w mówieniu i pisaniu o nim.

Jest jeszcze jedna kwestia, która umyka naszej percepcji. Zwykle analizujemy tylko te zdarzenia, które doprowadziły do wypadku. I to, jest moim zdaniem błędem. Analizie trzeba poddawać zarówno sukces jak i porażkę, bo tylko takie podejście daje możliwość pełnego rozeznania łańcuchów zależności. Bardzo często bywa jednak tak, że nawet rażące błędy w konfrontacji z odniesionym później sukcesem po prostu bledną. Powiedzenie „*zwycięzcy się nie sądzą*” tłumaczy dobitnie to zjawisko. O ile mi wiadomo jeszcze nikt publicznie nie odważył się podjąć analizy „sukcesu” w kontekście popełnionych błędów. Istnieje też realne niebezpieczeństwo, że takie analizy (wbrew intencjom) mogą zostać wykorzystane jako narzędzie walki personalnej i w konsekwencji przyczynić się do jeszcze głębszej polaryzacji środowiska wspinaczkowego. Rozeznanie łańcucha zdarzeń i wpływających z niego konsekwencji wydaje się być uniwersalnym antidotum na wypadki. Rzecz jednak nie jest jednak taka prosta, jak się na pozór wydaje. Na samym początku zwykle nie potrafimy dostrzec konsekwencji naszych wyborów, a „im dalej w las” tym trudniej jest zrezygnować już z zaplanowanego celu. Zwykle wtedy, gdy już dostrzegamy problem, jest najczęściej zbyt późno, aby wycofać się bez większych kosztów. Potwierdzeniem tej tezy jest to, że poszkodowani w wielu przypadkach działają jakby bezrefleksyjnie, w ogóle nie dostrzegając kolejno po sobie występujących sygnałów ostrzegawczych. Zachowują się niczym śmy dążące uparcie do płomienia świecy. Zawsze jest jednak nadzieja, że ktoś zareaguje w porę, kiedy jest to jeszcze możliwe i będzie mógł wyjść z opresji bez szwanku. Przy okazji profilaktyki bezpieczeństwa coraz częściej w przestrzeni wspinaczkowej

pojawiają się kalki językowe zaimportowane wprost z innych sfer życia, zwykle ekonomiczno – gospodarczej np. "zarządzanie ryzykiem", co moim zdaniem nie do końca odpowiada specyfice zajęcia jakim się zajmujemy. Stwierdzenie to budzi u mnie uzasadnione kontrowersje i wątpliwości, bo czy aby na pewno jesteśmy w stanie od początku do końca "zarządzać ryzykiem" w naszym sporcie? Na pewno możemy je znacznie ograniczać, ale czy w tym co robimy do końca jesteśmy panami sytuacji? Planowanie jest ważne, o ile nie najważniejsze, ale przejawem bezgranicznej pychy byłoby przekonanie, że jesteśmy w stanie zaplanować od początku do końca każdą (bez wyjątku) przestrzeń naszego życia. Dodatkowo, mnogość danych powoduje szum informacyjny i niejaką trudność w wydobyciu z nich tych najistotniejszych danych. Usilne szukanie racjonalnej odpowiedzi na każdy pojawiający się problem powoduje tak wielki natłok informacji, że w konsekwencji (zwłaszcza u osób mniej doświadczonych) może to skutkować podjęciem błędnych decyzji lub wręcz paraliżem decyzyjnym. Jak wielu z nas powinno jeszcze zrozumieć i zaakceptować to, że ze wspinaczką związane jest nierozłącznie ryzyko wypadku, a proces decyzyjny we wspinaniu zawsze będzie obarczony pewną dozą niepewności? Jest jeszcze inne, bardzo groźne w skutkach, niebezpieczeństwo dla nas samych. Pisałem o tym nieco wcześniej. Jest nim wszechobecne konsumpcyjne i egoistyczne podejście do wspinania jak i samego życia, czego wyrazem jest skupienie się wyłącznie na sobie i podporządkowanie temu dosłownie wszystkiego. To podejście nie obce jest człowiekowi od zarania dziejów, ale w dobie globalizacji i internetu zaczyna przybierać szczególny i groźny charakter. Takie podejście prowadzi z czasem do pogubienia się w tym co robimy tj. do powierzchownego i instrumentalnego traktowania zarówno otaczającej nas przyrody jak i innych ludzi, nie wyłączając z tego naszych partnerów. W konsekwencji sprawy naprawdę ważne spychane są na dalszy plan i ulegają stopniowemu rozmyciu. Aby tak się nie stało, konieczny jest pewien dystans do samych siebie, spojrzenie na sprawy z pewnej perspektywy oraz ciągła refleksja zarówno nad tym co i jak robimy (tu i teraz), jak i nad tym dokąd zmierzamy.

Marek Kujawiński

Z wykształcenia inż. mechanik. Instruktor taternictwa PZA i wspinaczki wysokogórskiej (uprawnienia państwowe), Pracę szkoleniową rozpoczął w 1992 r. Jest absolwentem stażu w renomowanej szkole alpinizmu ENSA w Chamonix we Francji. Należy do Akademickiego Klubu Górskiego w Łodzi. W latach 2001-2010 sprawował funkcję prezesa Klubu. Dwukrotnie członek Komisji Wspinaczki Skalnej i Wysokogórskiej PZA, a w latach 2016-17 jej przewodniczący.